

1. Maja 1938

Na żydowskiej ulicy robotniczej 1. maja 1938. r. świętowano pod znakiem konsolidacji większości żydowskich stronnictw socjalistycznych. Jeśli w roku ubiegłym robotnicy żydowscy w

Wł. KONIC

O jego działalności literackiej nie będę pisał, gdyż w artykule niniejszym chcę określić tylko działalność Świętochowskiego jako polityka i publicystę dawniejszego obozu postępowego, którego jak już wspominałem był jednym z twórców i filarów. W roku 1870 obejmuje redakcję dziennika „N o w i n y”, który stał się organem demokracji polskiej i chcąc udostępnić to pismo i zachęcić szersze warstwy społeczeństwa do czytania go wydaje przy nim tygodniowy dodatek literacki. W tym dodatku literackim wydrukował swoje nowele między nimi tak nam bliską „Chawę Rubiną”. Od roku 1881 całą swoją działalność polityczną i społeczną rozwijał na szpaltach przez siebie założonego tygodnika p. n. „PRAWDA”. Pod pseudonimem Poseł Prawdy wypowiadał swe poglądy demokratyczne, które świętością stylu stanowią arcydzieło sztuki pisania. Młode pokolenie żydowskie nie pamięta silą rzeczy tych czasów, lecz nasi ojcowie, którzy żyli za czasów pozytywizmu polskiego mają w swej pamięci te wspaniałe artykuły i pamiętają jaki wpływ wywierały one na umysłowość inteligencji polskiej i stosunek jej do sprawy żydowskiej. „Liberum Veto” — taki był tytuł tych artykułów, w których Świętochowski protestował przeciwko fałszowi i obłudzie. Poruszał on także na łamach „Prawdy” kwestię żydowska. Wypowiadał się o niej w duchu najbardziej postępowym i demokratycznym. Znał przecież doskonale przedstawicieli inte-

Na uwagę zasługuje wspaniały artykuł świętochowski poświęcony pogromom żydów w Warszawie, który odbył się w roku 1881. Oprócz zorganizowanej bandy najmitów carskich wzięło w tej zbrodniczej akcji udział wiele osób z pośród miejscowego popołstwa. Prasa warszawska potępiając naogół pogrom zwalała całą winę na władzę i na tych najmitów, a zupełnie przemlezała, o udział ludności rdzennej. Jedynie Świętochowski wystąpił ze wspaniałym artykułem w „Prawdzie”, którego wyjątki cytuję: „Zamiast kłamliwego ścięśnienia koła uczestników rozruchu do „drobnej szajki” i do „bandy rabusów”, lepiej po godzić się z myślą, że pożar objął szersze kregi ludności chrześcijańskiej, lepiej mając za sobą poparcie świeżego do świadectwa stanąć przed władzą wyższą i powiedzieć: błagamy o przymusową oświatę i upodobnienie żydów do ludności wśród której żyją”. Nawoływał Polaków, aby zajęli się bliżej problemem żydowskim, w roku 1887 w czasie dyskusji nad kwestią żydowską pisze w następujących słowach o przyczynach antysecityzmu: „Dopóki istnieć będzie fakt jaskrawej różnicy rasowej, dopóty żydzi będą musieli znosić skutki odrazy i niechęci społeczeństw nad nimi panujących”. Dowodzi dalej Świętochowski, że „Polak ani religijnie, ani ekonomicznie, ani politycznie nie doznał od żydów tysiącznej części tych krzywd, których doznał od Niemców, a jednak niech oni tylko wsłuchają swe pazury i schowają zęby, zaraz gotów do przyjaźni, sojuszu, mał-

„Jeżeli powstanie czasopismo, którego redakcja nie używa chorągwi narodowej jako chustki do nosa i nie czyni z Boga reportera, przysyłającego jej natchnienia, roznosicela, doręczającego jej wydawnictwo abonentom i woźnego, spełniającego wszelkie posługi, jeżeli pismo to broni wolności myśli, świeckiej szkoły, usamowolnienia ludu, bezpartyjnych zrzesseń i t. p. prenumerują je żydzi, bez, których wiodło by nędzny żywot. I cno niema nic wspólnego z żydostwem, przeciwnie, obc na jego duchowi pejsy i chałaty, zamyka mu chedery i do muzeum składa rodały. Jeżeli w społeczeństwie podjęte zostanie jakiegokolwiek przedsięwzięcie niezamknięte w ramach wyłączności religijnej lub plemiennej — fundusz użyteczności publicznej, stypendjum, zasiłek dla głodnych i nieszczęśliwych i t. p. — żydzi składają ofiary w daleko większym stosunku, niż ich współwyznawcy mogą z nich skorzystać. Wtedy także nie chodzi o urządzenie koszernych uczt i szabasowych kugłów, lecz o pożytek ogólny, z którego zaledwie okruszyny spadają dla Izraela. Słowem żydzi zawsze popierają „postęp”, który by bez nich zwykle by ustał a nie. raz nawet przewróciłby się zupełnie. Z faktu tego wysnuwa pasmo ciekawych zagadek. Naprzód czy ów postęp, zwłaszcza w postaciach radykalnych, dlatego tylko nie posiada sympatii aryjsko-polskiej, że przyczepiają się do niego żydzi, czy też on odstręcza ją samą swą istotą. Niewątpliwie zachodzi tu drugi wypadek. Inteligencja nasza jest w 9 10 cześciach klerykalno szlachacka: czy podobna od n’ej wymagać, ażeby

Pod tym kątem widzenia obecna akcja K. K. L. posiada ogromne znaczenie polityczne. Wyzwalając ziemię na kresach północnych Palestyny, tworzymy zarazem warunki wydłużenia na północ naszych przyszłych granic państwowych. O tej okoliczności nie wolno nam zapominać ani na chwilę. Więcej ofiar dla KKK — więcej ziemi żydowskiej — szersze granice Państwa żydowskiego w Palestynie.

Ostatnio przed śmiercią napisał Świętochowski potężne dzieło poświęcone historii chłopów polskich. Obudził się w nim stary szermierz demokracji. W pracy tej wskazywał na krzywdy, jakie cierpiało włościanstwo od szlachty, kleru i możnowładców.

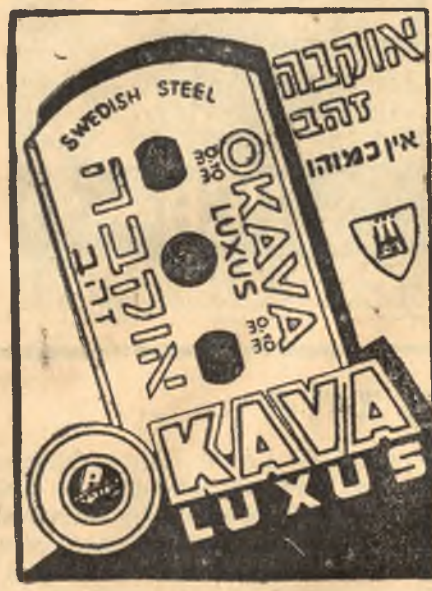
Dzisiaj, gdy Aleksander Świętochowski odszedł z tego świata przypominamy, że był jednak autorem „Chawy Rubin“, jednym z pierwszych, który dostrzegł naszą krzywdę i opisał.

W. BARTZ

HENLEIN W KARLOVYCH VARACH

Dnia 21. października 1934 r. Konrad Henlein, przywódca Sudecko-Niemieckiej Partii, oświadczył w programowej deklaracji w Bömisch-Leipa:

„Jest naszym zasadniczym przekonaniem, że zarówno faszystom, jak nacjonal-socjalizm traci rację bytu u groń państw, w których powstały i dlatego nie mogą być przeszczone na grunt naszych, szczególnie ukształtowanych warunków... Śmieszne jest wmawiać mnie i moim współpracownikom, że zaciągaliśmy ideowe i językowe pożyczki u nacjonal-socjalizmu, że pobieraliśmy u niego nauki. Mimo pewnych krytycznych zastrzeżeń w stosunku do epoki liberalnej, muszę podkreślić z naciskiem, że nigdy



nie zrezygnujemy z liberalności, t. zn. bezgranicznego szanowania praw jednostki, jako zasadniczego stanowiska przy ustalaniu stosunków pomiędzy obywatelami a władzami. Najbardziej wszakże jesteśmy dalecy od negowania świadomości i odpowiedzialności działającej jednostki, jako konkretnego pioniera wszelkiego postępu społecznego. Z tych stwierdzeń wypływają podstawowe różnice, które dzielą nas od nacjonal-socjalizmu.”

Dnia 24. kwietnia 1938 r. Konrad Henlein oświadczył w programowym przemówieniu, wygłoszonym w Karlovych Varach.

„Niezależnie od granic państwowych, Niemcy sudeccy, stanowiący część narodu niemieckiego, z którym zawsze byli i pozostaną nierozdzielnie związani, nie mogli pozostać obcy światopoglądowi, za którym opowiadają się dziś z radością wszyscy Niemcy na świecie. Właśnie nas, jako Niemców zagrożonych i walczących o stan posiadania, porwać musiał światopogląd, którego prawem najwyższym jest prawo wspólnoty. Podobnie, jak Niemcy na całym świecie, deklarujemy się za nacjonal-socjalistycznym światopoglądem, w myśl którego kształtujemy w ramach prawa życie naszej grupy narodowej.”

Kiedy więc Konrad Henlein dał wyraz swemu najgłębszemu przekonaniu? Przed czterema laty w Bömisch-Leipa, gdy odrzucał nacjonal-socjalizm? Czy też przed dwoma tygodniami, gdy opowiedział się za nacjonal-socjalizmem?

Odpowiedź na te pytania może zadziwić tych, którym nie jest znana mentalność tego nauczyciela gimnastyki, tego w swej najgłębszej istocie apolitycznego, przeciwnego i zmuszonego do odgrywania niemożliwej roli, człowieka. Odpowiedź ta jest prawdziwa, choć brzmi paradoksalnie: w obu wypadkach Henlein mówił wbrew własnemu przekonaniu. W Bömisch-Leipa oszukał swego czechosłowackiego partnera. Albowiem już wtedy pozostawał on w kontakcie z niemieckim nacjonal-socjalizmem; już wtedy wiedział, że oddziedziczył spuściznę po zakazanym N. S. D. A. P. w Czechosłowacji, że nawet przejął jej partyjne fundusze; że był zastępcą zbiegłych do Rzeszy Krebsa, Junga Viererbla, którzy opracowali dlań program i w ogóle... posadzili go na siodło. Henlein musiał temu przeczyć, aby stronić od mającej zastąpić zakazaną partię nacjonal-socjalistyczną także nie zostało zakazane. Dlatego oszukał partnerów czechosłowackich.

W Karlovych Varach zaś Henlein oszukał swego partnera z Rzeszy. Albowiem, kto zna przeszłość Henleina i wie, że hodził on na naukowca Spanna o państwowe stanowisko, o Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego, o kierownictwie duchowo arystokratycznej elity, a na nacjonal-socjalizm spoglądał jak na coś wulgarne: komu znane są ostre powiedzenia najbliższych współpracowników i przyjaciół Konrada Henleina na temat nacjonal-socjalizmu i Hitlera, ten musi być przekonany, że dzisiejsze opowiadanie się Henleina za światopoglądem nacjonal-socjalistycznym jest równie fałszywe, jak w swoim czasie jego negacja nacjonal-socjalizmu.

W r. 1934 potrzebne było Henleinowi państwo czechosłowackie, bo nie chciał być zakazanym. W r. 1938 potrzebne było Henleinowi Trzecia Rzesza. Tak o politykę uprawianą podwójnej gry na wszystkich stronach, charakteryzującą partię sudecko-niemiecką „Führera” doszła do punktu kulminacyjnego.

Tak czy inaczej, faktem jest, że par-

tia, w której zorganizowano obecnie 26% Niemców sudeckich, a która przy najbliższych wyborach niewątpliwie skupi wokół siebie przynajmniej większość Niemców sudeckich, jest nacjonal-socjalistyczna. Nie dlatego, że jej przywódcy i zwolennicy są nacjonal-socjalistyczni, ale ponieważ rozwój wydarzeń zmusił ją do roli narzędzia Trzeciej Rzeszy, kierowanego z Berlina. Czechosłowacja i świat cały muszą liczyć się z tym faktem: zmienia on sytuację.

W październiku 1933 r. Czechosłowacja rozwiązała partię, która zaprzeczała, czy też usiłowała zaprzeczać swoją zależność od Berlina. Uczyniła to, słusznie uważając, że program nacjonal-socjalizmu, przewidujący m. i. zjednoczenie wszystkich Niemców we wspólnej Rzeszy, jest nie do połączenia z integralnością Republiki Czechosłowackiej. Dziś partia, powstała w miejsce rozwiązanej — według rezultatów wyborczych z maja 1933 r. — po akcesie niemieckich chrze-

ścikańsko-społecznych i związki rolników, dysponuje 1,555,000 głosów i 55 mandatami poselskimi. N. S. D. A. P. miała w chwili rozwiązania 200,000 głosów i liczyła w parlamencie 8 posłów.

Te dane cyfrowe ilustrują powagę zagadnienia, w obliczu którego znalazła się Czechosłowacja. Od obrad karlsbadzkich trwa wielkie niebezpieczeństwo. Przecież Henlein — tak komentuje mowę karlsbadzką „Essener Nationalzeitung” — „nie chce być tak zrozumiałym, jakoby żądał od tolerowania światopoglądu nacjonal - socjalistycznego. Proklamował on raczej siebie i Niemców sudeckich jako nacjonal-socjalistów.”

W ostatnich miesiącach Czechosłowacja poczyniła decydujące kroki w kierunku rozwiązania zagadnienia narodowościowego. 18 lutego ub. r. przyrzekała mniejszości niemieckiej pełną proporcjonalność w państwie i przyrzeczenie to systematycznie wprowadzała w życie. Wyraziła gotowość do dalszych roko-

wań i przygotowała grunt do nich w postaci wielu dalekoidących ustępstw, jak amnestia polityczna, rozpisanie wyborów gminnych i t. d. Zapowiedziała wreszcie statut mniejszościowy. Nic więc nie stało na drodze rozwiązania tego, co nosisi miano „kwestii mniejszościowej w Czechosłowacji”.

Ale zagadnienie, które Konrad Henlein wysunął w mowie karlsbadzkiej ma z tymi sprawami bardzo mało wspólnego. To, czego Henlein zażądał w Karlovych Varach nie leży w płaszczyźnie praw mniejszości. Są one wypływem niemieckiego imperializmu, który przemienił w swoje narzędzie ruch poza granicami Rzeszy. Gdy Henlein żąda całkowitej zmiany kierunku czechosłowackiej polityki zagranicznej; gdy domaga się rozbicia Republiki Czechosłowackiej na pojedyncze autonomiczne państewka; gdy mówi o konieczności „rewizji nieszczerzego poglądu, że zadaniem narodu cze-

kiego jest stanowić słowiańską tamę przeciw t. zw. niemieckiemu „Drang nach Osten”; gdy wreszcie żąda, aby część czechosłowackiej ludności opowiedziała się za czymś, co jest nie do połączenia z demokracją — wtedy nie ma to nic wspólnego z zagadnieniem mniejszościowym.

Zagadnienie, które w takich warunkach wydaje się być nie do rozwiązania, nie jest sudecko-niemieckie ani czechosłowackie, ale europejskie. Może być ono rozwiązane przez Czechosłowację o tyle, o ile chodzi o nią i o jej mniejszości. Może być ono rozwiązane tylko przez Europę, gdy chodzi o Czechosłowację i Niemcy. Henlein, żądając w Karlovych Varach nie tego, czego mógł żądać dla Niemców sudeckich, ale co mu poddyktowano z Berlina, podkreślił europejski charakter zagadnienia. Echo mowy Henleina w świecie wywołuje wrażenie, że świat wezwane to dobrze zrozumiał.

MAX WERNER

Hitler grozi wojną — a tymczasem...

Pani Genevière Tabouis, współpracowniczka „Oeuvre”u, opublikowała nie dawno książkę, która już przedtem ukazała się w języku angielskim i miała w Anglii kolosalne powodzenie. Książka ta nazywa się „Chantage à la guerre” i zawiera dzieje kryzysu europejskiego, widzianego z wewnątrz jasno i wyraźnie. Ministrowie spraw zagranicznych przychodzili i odchodzili, pani Tabouis pozostała na swym punkcie obserwacyjnym. Krewna braci Cambon, demokratka z tradycją dyplomatyczną, opisuje przebieg ostatniego, tragicznego dziesięciolecia i wysnuwa wnioski dla teraźniejszości.

Pani Tabouis ukazuje w swej książce związki między wielkimi wydarzeniami politycznymi. Uważa, że wyruszenie Franco na Gibraltair był atakiem na Imperium Brytyjskie, atakiem, którego dopełnienie stanowi ofensywa japońska na Hongkong. Koalicja słabych była z punktu widzenia historycznego kontynuacją poddania się. W czasie kryzysu europejskiego mimo wszystkich pozorów niespodzianek nie było niczego nieoczekiwane: ze strony mocarstw faszystowskich wszystko było dobrze przygotowywane; po stronie państw demokratycznych każdy popełniony błąd powodował następną klęskę.

Pani Tabouis bada sposób postępowania faszystów, który nazywa metodą stosowania przymusu za pomocą groźby wojny. — „Ileż to zwycięstw odniesionych zostało nad demokracjami bez walki i bez ryzyka!” — pisze. „O ile wojna się może nie opłaci, o tyle z pewnością opłaca się groźba wojny.”

Cztery wydarzenia rozspłyły w gruz system pokoju europejskiego: odrodzenie imperializmu włoskiego, spowodowane wojną abisyńską; brak reakcji ze strony mocarstw Europy Zachodniej na okupację Nadrenii; stworzenie osi Berlin — Rzym.

Wszystkie te cztery etapy należą do ataku na Europę, który zaczyna się bezpośrednio po faszystowskim marszu na Rzym (i nie jest to przypadek, że kierownicze pismo faszystowskie nazywa się „Anti-Europa”). „Jestem delegatem przeciwko Lidze Narodów, a nie do Ligi” — chwalił się już piętnaście lat temu dyplomata włoski Coppola. „Włochy muszą zdobyć państwo kolonialne, a Francja musi je stracić” — pisała prasa włoska już w 1926 roku. Mussolini był początkowo przeciwko paktowi locarneskiemu. Sciałoja i Piloti przekonali go, że korzystną rzeczą jest przystąpienie do paktu, gdyż dzięki niemu Włochy zyskują w Europie stanowisko rozjemcy i postawione są jako wielkie mocarstwo narówni z Anglią. Polityka locarneska Włoch była więc dwuznaczna już od początku.

Walkę o władzę w Hiszpanii zaczęli Włochy już w 1926 roku przez pierwszy pakt z Madrytem. W 1928 powiedział Grandi, ówczesny minister spraw zewnętrznych: „Baleary są powołane na to, by przy każdym konflikcie na zachodnim M. Śródziemnym stanowić najdalej wysunięty punkt oparcia dla walczących flot.” Kiedy w 1931 roku obwołana została Republika hiszpańska, Rzym odezwał to jako wyzwanie faszystów i jako klęskę na polu polityki zewnętrznej. W 1934 zawarty został tajny układ z prawicą hiszpańską, który przewidywał pomoc Włoch przy obaleniu republiki hiszpańskiej i wskrzeszeniu monarchii. Już w 1928 roku w polityce państw zachodnich zaczęły odgrywać rolę nowe momenty. Nie chciały one przedsięwziąć nic takiego, co mogłoby zaszkodzić faszystowskiemu włoskiemu, co mogłoby mu zagrażać ze względu na politykę wewnętrzną. Mussolini zwiódł konserwatywnych europejskich. Poincaré, ten silny mąż, pozwolił włoskim okrętom wojennym ostrzeliwać Korfę; Barrère jako

ambasador w Rzymie, patrzył z sympatią na wzrost władzy Mussoliniego; Austen Chamberlain chciał w 1925 uniknąć wszelkiego wstrząsu regime'u faszystowskiego. Faszystom włoski stał się rozpieszczonym enfant terrible konserwatywnych demokracji zachodu. Marsz na Addis-Ababę, przygotowany ze strony militarnej i dyplomatycznej, mógł się rozpocząć.

„Precz z tradycjami” — tak charakteryzuje pani Tabouis okres Laval'a. Nastąpił zwrot w polityce francuskiej, wystąpił nowy czynnik: polityka francuskiej prawicy, polityka porozumienia. Obawa przed wojną została wyzyskana; gotowość do porozumienia z Włochami połączona z sobą gotowość do porozumienia z Niemcami. Konstruuje się „przeciętnego Francuza o zdrowym rozsądku”, który odrzuca politykę Barthou. Argumenty Laval'a brzmią: „Nie chcę przecież wojny. A więc dobrze, porozumie się z Niemcami, które mogą nas zaatakować, bo są silne”. W takich warunkach nie tylko Niemcy zabrali Saarę, lecz również Francja ją oddała.

Z niechęcią podpisał Laval pakt francusko - sowiecki. W drodze powrotnej konferował w Warszawie z Goeringiem. „Stawiał na dwie karty” — powiada pani Tabouis, która także pojechała wtedy do Moskwy. W Rzymie Duce wysłał Laval'a. Duce był zadowolony, gdyż wiedział, że jak długo Laval pozostaje ministrem spraw zewnętrznych, wyprawa abisyńska nie napotka na żaden opór. Wojna więc się rozpoczęła. Nie bez pomocy Laval'a prawica i centrum francuskie zostały zmobilizowane przeciwko sankcjom, burzująca francuska nie pojmowała doniosłości chwili. Odsunięto Anglię, sabotowano sankcje. Aparat bezpieczeństwa zbiorowego i prawa międzynarodowego zawiódł i od tego czasu nie można go już na nowo uaktywnić. Paul Reynaud, Herriot, lewica protestowała, Laval został obalony — ale było już za późno. Anglia pogrążyła się w głęboką depresję.

Lewica poznała się dopiero później na nowych metodach reakcji w polityce zewnętrznej. Po podróży Laval'a do Rzymu Leon Blum miał powiedzieć swoim przyjaciołom: „Pewnie, że nie jestem przyjacielem Laval'a; ale on jest szczerym przyjacielem pokoju” (Quos vult perdere Juppiter demantat — pisze pani Tabouis). A skutek? Anglia nie mogła zapomnieć swojej klęski w Genewie. Po

przemowie Hoare'a przed plenum Ligi Narodów przewidujący polityk rzekł do dyplomaty: „Jeżeli Francuzi będą mieli jakies nieprzyjemności nad Renem, Anglia przypomni sobie o tym swoim doświadczeniu”. Nie trwało długo i nieprzyjemności nadeszły.

U pani Tabouis znajdujemy pierwsze autentyczne dzieje dyplomatyczne osadzone w Nadrenii. W okresie przygotowań politycznych Niemcy badały nastroje w Londynie. Wynik: Anglia nie przedsięwzięła żadnych poważnych środków. 25. lutego 1936. ambasador von Hoesch powiedział swemu powiernikowi austriackiemu: „Oznacza to niemałą zgodę Anglii na zremilitaryzowanie Nadrenii. Osiągnąłem najpóźniejszy sukces w mojej karierze dyplomatycznej.” Sondowanie opinii we Francji przyniosło podobne rezultaty. Zrozumiano w Berlinie, że prawica francuska nie jest zdolna do czynnej polityki zagranicznej. Deputowany prawicy oświadczył partnerom niemieckim otwarcie: „Nie ruszymy się, kiedy wkroczycie do Nadrenii. Jesteście u siebie w domu. Żaden Francuz nie będzie się o to troszczył.” Doradcy Hitlera kalkulowali: „Nie należy się spodziewać ze strony Francji uchwały zastosowania środków militarnych, Francja nie oczekuje niczego i jest niezdecydowana; nie zdobędzie się na natychmiastową reakcję; powstrzyma ją prawica francuska wewnątrz i Anglia od zewnątrz; możemy się więc na to odważyć”. Wkroczenie nastąpiło z szybkością, niemieckie działa jechały bez amunicji, podobnie jak później do Austrii. Wszystkie było obliczone na niespodziankę i zgóry przewidziana bezkarność akcji. A w Paryżu? Pertraktacje rządu trwały dwa dni, Mandel pierwszy postawił pytanie: „Czy ingerujemy?” Opinia publiczna była niezdecydowana, prawica nie chciała udzielić gabinetowi Sarraut mandatu na energiczne działanie, lewica wpadła w zasadzkę pogróżek wojennych. Paul Faure pisał w „Populaire”: „Odrzucamy możliwość zaakceptowania hipotezy wojny. Paryż konferował z Londynem, przeoczono moment, odpowiedni do działania, figiel niemiecki się udał.

Co Niemcy wtedy przedsięwzięli? Włochy były zajęte Abisynią, kurs był przeto odpowiedni dla natychmiastowego Anschlussu. Ale dyplomacja niemiecka zwlekała. Nie chciała odepchnąć Włoch. Najpierw należało do ostatka wyzyskać rozłam wewnątrz ententy w

celu umocnienia Renu. Zorganizowany został wielki blok faszystowski. Hiszpańska wojna domowa zamieniona została w wojnę interwencyjną. Teraz Włochy znalazły cel na Morzu Śródziemnym. W październiku 1936. oś stała się faktem, 16. listopada podpisany został traktat niemiecko - japoński.

Jednocześnie pracowano nad rozkładem Europy południowej. Plan Titulescu, żeby południowy wschód ująć w wielki system bezpieczeństwa, spełznął na niczym, od 29. sierpnia 1936. Titulescu nie jest już ministrem spraw zagranicznych. Wojna hiszpańska utwierdziła sojusz niemiecko - włoski, a 27. września Mussolini święcił na Maifeld w Berlinie wzmocnienie osi. Dla Włoch nie było już odwrotu, Anschluss mógł dojść do skutku.

Oś atakuje, demokracje pozwalają się zrażać groźbą wojny — i cofają się. Pani Tabouis bada przyczyny. Francja może prowadzić wojnę z niesłychaną zwartością, ale opinia publiczna obawia się ryzyka. Polityka rządu, któryby zdecydowanie wystąpił przeciwko niemieckiemu - włoskiemu dążeniu ekspansywnym w Europie Środkowej i na Morzu Śródziemnym, uznano by za politykę „bloku” i „ideologii”. Anglia dopóty znosiła agresywną politykę osi ze sceptycyzmem i uśmiechem rezygnacji wyższości, dopóki sły międzynarodowego faszystwu nie przerosły jej o głowę. Kurs Chamberlaina i Halifaxa jest nierealny, gdyż zwiększa niebezpieczeństwo wojny. Po kilku rozczarowaniach Anglia wróci jednak do polityki Edena. Wytyczne wielkiej kontrakcji należy już ułożyć. Konieczne są nowe, śmiałe metody. Wielki blok pokoju, który sięga od Londynu po Moskwę, nie powinien biernie czekać. Dwie rzeczy są niezbędne: odeprzeć przymus przeciwnika, który posługuje się groźbą wojny, i pozwolić zniknąć wrogiej sile. Powinno się systematycznie odsłaniać słabe punkty przeciwnika i zmusić go do odwrotu. Pod pancerzem zbrojeń faszystowskich kryje się wyczerpana gospodarka i kraj, pełen lęku i niezadowolenia. Można syntetycznie wytwarzać kaucuk — ale nie siłę bojową narodu. Istnieją wszelkie dane dla kontrofensywy, demokracje stoją przed wielką decyzją.

Wielka i odważna publicystka, której słucha też rządząca elita Francji, dała w swej książce więcej, niż analizę: opisała metodę kontrakcji europejskiej.

M. JARBLUM

„Lojalność” komunistyczna

We Francji utarło się już powiedzenie: „Kiedy się tylko zaczyna mówić o rządzie Leona Bluma, od razu zaczyna się strajki.” I to jest prawda.

Gdy Leon Blum dochodzi do władzy, szerzy się w Paryżu w wielkich przedsiębiorstwach ruch strajkowy i okupacja fabryk.

Tak było wprawdzie i tak się też stało teraz, za ostatniego rządu Frontu Ludowego pod kierownictwem Leona Bluma.

Gdy w połowie marca Prezydent Republiki powierzył Blumowi misję utworzenia rządu po dymisji Chautemps'a, rzucano nagle pracę w metalurgii, a nawet w przemyśle lotniczym, który pracuje dla obrony narodowej i którego część znajduje się już pod kontrolą rządu.

Kto wywołał ten ruch, który zaszkodził tylko rządowi Bluma, osłabił jego prestiż, zabrał mu wiele czasu, a w dodatku wzburzył ludność?

Żadna partia nie chciała ponosić odpowiedzialności za ten ruch. Komuniści wołali, że wywołały go grupy socjalistyczne i syndykaty robotnicze, grupy,

które znajdują się pod wpływami Marceau Piverta, przywódcy skrajnego skrzydła partii socjalistycznej. Socjaliści twierdzili, że to robota komunistyczna, mówiono o wpływach trockistowskich itd.

A prawda? Prawda jest prosta.

Po pierwsze wielcy przemysłowcy — ci patrzyli chętnym okiem na nowe strajki, robili wszystko, by pozwolić im się rozszerzyć, nie chcieli pertraktować, jak długo trwają okupacje przedsiębiorstw, i w ogóle nie życzyli sobie, by Leon Blum szybko zlikwidował konflikt. Lepiej zwlekać, podniecać ludność, kompromitować rząd i w ten sposób go się pozbyć. Wylczenia przedsiębiorców były jasne.

Komuniści nigdy nie manifestowali szczególnej sympatii dla Leona Bluma. Składa się na to wiele przyczyn: obawa przed wzmocnieniem partii socjalistycznej w razie powodzenia Bluma, negatywny stosunek do polityki zagranicznej Bluma, szczególnie w kwestii hiszpańskiej itd. Prawda, że w parlamen-

cie komuniści głosowali za rządem, ale w swojej prasie bardzo nieżyczliwie krytykowali Bluma i jego rząd.

Najsilniej ujawniło się to ostatnim razem, kiedy Leon Blum znowu objął władzę w ciężkim, krytycznym momencie i czynił kolosalne wysiłki, by opracować projekt finansowy, któryby w wielkiej mierze zlikwidował kryzys i któryby się nie natknął na zbyt gwałtowny opór ze strony umiarkowanych elementów partii radykalnej oraz ze strony senatu.

Położenie Bluma było doprawdy niezmiernie trudne, ale nie nie do zniesienia. Przeciwnicy i wrogowie Frontu Ludowego, a szczególnie Leon Bluma, z niecierpliwością czekali na błędny krok, żyli nadzieją nawet co do parlamentu, co do znacznej części partii radykalnej. Zmobilizowano wszystko, by się uwolnić od Leona Bluma, Prasa prowadziła okropną hecę, której nie postrzedziły się i Goebbels.

Ale Leon Blum stracił wiele czasu na (Dokończenie na str. 4)

Prof. Dr. HUGO BERGMANN

Humanizm hebrajski

Problem humanizmu hebrajskiego jest dość doniosły, by się nim uważnie zająć.

Jaki jest sens naszej drogi ze świata do ojczyzny? Skłonni jesteśmy myśleć tylko o rzeczach najbliższych i widzieć w Palestynie przystań i ratunek. Historia syjonizmu wykazuje jednak, że pragnął on czegoś więcej, niż to. Sensem jego jest przeobrażenie narodu i nie są błędne hasła, głoszone teraz przez tych, którzy w syjonizmie widzą dążenie do hebrajskiego humanizmu. Oba słowa: „Hebrajski humanizm” oznaczają syntezę i oba te czynniki zasługują na to, aby się nad nimi zastanowić.

Najpierw: hebrajski humanizm. Chcemy być ludźmi, ale chcemy nimi być jako Żydzi. Naród żydowski, zakorzeniony w Palestynie, ma być narodem, mówiącym po hebrajsku; język ma przy tym oznaczać coś więcej niż wokabulary. Mówiąc po hebrajsku, żyjąc po hebrajsku, chcemy przeżyć wszystko, co w nas jest ludzkie. Historię naszą od wielu pokoleń zatrzyma rozdźwięk między tym, co ludzkie, a tym, co żydowskie. Wszystko, co w nas było żywotnego i twórczego, oddaliśmy abstrakcyjnej ludzkości, a dla żydostwa nie pozostało nic poza sentymentalnym i fałszywym pietysmem. Wielkim czynem Herzla było, że, apelując do istniejących pomimo wszytkich podświadomych sił, nawoływał do owoenności żydostwa, do jego siły i piękna. Żądanie to zawierało o wiele więcej, niż Herzl i pokolenie jego rozumiało. W hasłach, które głosił Herzl i jego współpracownicy, było o wiele więcej prawdy, niż oni sami przypuszczali.

Od tego czasu zrobiliśmy znaczny krok naprzód w kierunku zrozumienia naszego syjonizmu. Palestyna nie jest hasłem, jest rzeczywistością. Zaczynamy rozumieć, to, co pisała „Jüdische Rundschau”, że sens zwrotu polega na tym, by dzieła naszego ducha oprzeć znowu na naturalnych i dla nas odpowiednich podstawach życia. A duch to nie jest książka i piśmiennictwo, lecz nasze całe życie: praca zawodowa i czas wolny od niej, czas przeznaczony na zabawę i poświęcony rzeczom poważnym. Wszystko to ma być hebrajskie. W duszy naszej winien się skończyć rozdźwięk między naszym żydowskim a ludzkim istnieniem. Stanowczo i całkowicie zwalaliśmy się z krajem i językiem. Nie „żyd w namiocie, a człowiek na zewnątrz”, lecz żyd — człowiek i we własnym namiocie i na zewnątrz. Widzimy sens historii Żydów w tym, że naród żydowski „wstępuje” do rodziny narodów i że na drodze do naszej własnej społeczności dajemy ludzkości wszystko, co posiadamy najcenniejszego. Przyjaciele moi i ja polemizowaliśmy często z hasłem „jak

wszystkie narody”. Nie tailiśmy jednak przed sobą nigdy, że hasło to zawiera wielką prawdę, przecie nie ostatnią prawdę naszego istnienia.

„Kiedy „znormalizujemy” się, jak inne narody, siedząc na własnej ziemi i mówiąc własnym językiem, z całą powagą stanie przed nami pytanie, czy mamy jeszcze coś własnego do powiedzenia światu.

To jednak dotyczy już drugiego momentu syntezy hebrajskiego humanizmu: naszego specjalnego, żydowskiego ujęcia człowieka. Godne uwagi jest nieporozumienie historyków z epoki renesansu, którzy na sztandarze swoim wypisali hasło humanizmu i uważali, że tym samym popadają w sprzeczność ze średniowieczem i wracają do klasycznej starożytności. Ten zwrot był iluzją. Świat starożytny nie znał lub prawie nie znał owego humanizmu. Pojęcie humanizmu jest utwierdzeniem duchowej i uniwersalnej wartości (człowieka jako człowieka) i jako takie jest ono czymś zupełnie obcym duchowi starożytnemu, jest dalszym ciągiem owych dzieł kościoła i duchowieństwa, które rozpoczęło chrześcijaństwo. Pojęcie wartości duchowej zmieniło się czy wzbogaciło od czasów starożytnych, o więcej, niż tysiąc lat duchowych doświadczeń, myśli i działań, a jednak zachowało swój pierwotny charakter.

Wiemy, czym był ten pierwotny charakter. Był żydowskim ujęciem ludzi jako dzieci Bożych, stworzonych na podobieństwo Boże. Dzięki niemu dzieje ludzkości otrzymały nowy sens i nowe oblicze. Naród, który z niewoli wyszedł na pustynię, a z pustyni na Synaj, otrzymał tam objawienie sensu swego istnienia jako narodu i celu dzieł ludzkości. Powtarzamy to wszak w końcowej modlitwie każdego nabożeństwa: „By świat przetworzyć w królestwo Boże.”

Hasło normalizacji ma sens tylko wtedy, gdy jednocześnie zdajemy sobie sprawę z misji, którą na się przyjęliśmy. Nasze życie żydowskie jest dziś właśnie wewnątrz ruchu narodowego za bardzo opłanowane troską o naszą egzystencję cielesną, która kategorycznie domaga się swych praw i swego miejsca w naszym życiu publicznym. Ale nie powinniśmy widzieć pojedynczych drzew miast całego lasu. Potrzeby cielesne naszego życia nie mogą nam zamykać oczu na życia tego podstawy. Właśnie teraz, gdy podwaliny naszego istnienia są wciąż wstrząsane, gdy wciąż nowi Żydzi zadają pytanie: Poco? — właśnie teraz nie trzeba im odmówić odpowiedzi: Naród żydowski ma jeszcze coś własnego do powiedzenia światu, do powiedzenia raz jeszcze.

Nie w słowach, nie w walce o poli-

tyczne formy innych narodów — to był wielki błąd epoki przesyjonistycznej, — lecz we własnym życiu narodowym, przez to, czym jesteśmy. Wielką zasługą żydowskiego liberalizmu religijnego było wydobyte na jaw tej zasadniczej idei żydostwa oraz wskazanie, że ideę tę winniśmy realizować wśród nas samych, wśród naszej własnej społeczności, a nie przez misję wśród innych narodów.

Sklamaliśmy, twierdząc, że w Palestynie te rzeczy na ogół się rozumie. Że pod tym względem jest zupełnie niedobrze z częścią żydowskiej młodzieży w Palestynie, z własnego doświadczenia opowiedział niedawno nauczyciel, p. Schiffmann, („Hacofeh” 25.3.1938). Mówi on o zatrważającym lekceważeniu dóbr religijnych i narodowych, o zupełnym braku zrozumienia dla żydostwa proroków: „Nie ma nie trudniejszego, jak uczyć naszą młodzież tych rzeczy. Słowo Boże jest jej obce. Słowa proroków o sprawiedliwości — są dla niej czczym frazesem. Nie ma na świecie sprawiedliwości i jej nie będzie, gdyż

siła tylko rozstrzyga. Ze słów Jezajasa o schyłku dni wprost się naigrywa. Wojny istniały i zawsze istnieć będą i tak jest dobrze. Młodzież żydowska czeka na dzień, w którym i ona będzie mogła wykazać swą siłę w wojnie. Wszystkie słowa o pokoju, humanizmie, sprawiedliwości, królestwie Bożym są dla nich tylko czczym gadaniem chorego narodu, któremu brak pragnienia wiady.”

Schiffmann sam mówi, że jego charakterystyka dotyczy tylko części młodzieży palestyńskiej, ale i to wystarczy, by wzbudzić w nas poważne troski i przypominąć o tym, jak bardzo potrzebna jest naszemu ruchowi rewizja jego podstaw duchowych.

Ważną rzeczą dla nas samych, dla naszej młodzieży, dla przyszłego pokolenia jest ożywienie żydowskiego humanizmu (i wydaje mi się, że wielkie zadanie leży tu przed Uniwersytetem Hebrajskim i instancjami wychowawczymi Jiszuwu, na które on może wpłynąć). Przekonanie o tym, że człowiek, że wszyscy ludzie są dziećmi Boga, nie-

prawdopodobna wartość jednostki, wiara i nadzieja, że nastanie Królestwo Boże, że nastanie mimo całej nędzy, a może dzięki niej — wszystko to są potężne wartości wychowawcze, które u nas jeszcze niestety leżą ugięte. Musimy tylko do głębi zrozumieć siebie samych i znaleźć odwagę do podjęcia zadań, dla których nie można dziś znaleźć lepszego określenia, niż „humanizm hebrajski”.



„Lojalność” komunistyczna

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

szukanie szybkiego rozwiązania dla konfliktów społecznych. A przedsiębiorcy się uparli i żądali, by robotnicy przede wszystkim opuścili fabryki, a wtedy będzie można pertraktować...

Ale robotnicy nie chcieli opuścić przedsiębiorstw.

Cóż mógł począć Leon Blum?

Nie.

A to nie podniosło jego prestige'u. W tym samym czasie Blum z grupą specjalistów przygotowywał plan finansów rządu; plan, który prasa prawnicza zdyskredytowała jeszcze zanim go znała.

A co robiła wtedy prasa komunistyczna? Czy przysłała z pomocą w obronie prestige'u Leona Bluma?

Wcale nie, wręcz przeciwnie.

Kiedy przeciwnicy w największy sposób atakowali Front Ludowy, w „Humanité” ukazał się jęzuicko wstrętny artykuł o Leonie Blumie. Autor był niezadowolony, że nowy rząd tak długo zwleka z opublikowaniem swego projektu finansowego... „Niepewność podnieca masy ludowe” — pisał autor. „Kraj nie chce reklamy, lecz autorytetu...” „Naród czeka na czynny, a nie na błąd...” „Błąd Bluma polega na tym, że pozwala wierzyć, iż państwo demokratyczne nie potrafi okazać mocy i siły...” Za pomocą takich oto frazesów komuniści „popierali” Leona Bluma w chwili, gdy cała reakcja zmobilizowała socjalistycznymi członkami rządu, że z

powodu nich i z powodu innych musi być ostrożny, często zaprowadzić zmiany, iść na pewne kompromisy.

„Populaire” wylicza postępek komunistów, którzy obrali sobie za cel osłabienie pozycji Leona Bluma przez udział w grze reakcji...

Wszystko jest prawdą.

Nie tylko, że brak ze strony komunistów wszelkiej pomocy w obronie rządu Frontu Ludowego i Leona Bluma, lecz zamiast tego spotyka się insynuacje, fałszywe pogłoski, fałszywe interpretacje, fałszywe zarzuty...

A ostatnio, gdy jasną rzeczą stało się, że reakcjonista z senatu są zdecydowani doprowadzić do upadku rządu Bluma, nie rozpatrzywszy nawet jego projektu — postępowanie komunistów było bardzo podejrzane. Podczas, gdy socjalistyczny „Populaire” prowadził silną propagandę przeciwko senatowi, wskazując na jego dalece nie demokratyczny skład i nieuzasadnione pretensje do zmiany polityki parlamentu, wybranego bezpośrednio przez całą ludność, komunistyczna „Humanité” nabrała wody w usta i nie napisała ani chwili, gdy cała reakcja zmobilizowała wszystkie swe siły, by go obalić. Komuniści wiedzieli bardzo dobrze, dlaczego opracowanie projektu trwa tak długo, wiedzieli, że Blum musi się liczyć z niesłowa przeciwko senatowi.

Dlaczego?

Taka jest „tatyka” komunistów francuskich, która jednak nie przeszkodzi

dziła posłać do Leona Bluma delegację w celu „dodania mu odwagi” w walce z senatem i zachęcenia, by nie podawał się do dymisji, choćby senat wyraził wotum nieufności jego projektowi.

W ten sposób chcieli uspokoić tych nielicznych, którzy nie mogli zaakceptować ich postępowania. Na „tatykę” komunistów poznał się tylko Blum.

Rząd Bluma upadł. Taktycznego, poważnego i szczerego poparcia udzielił mu tylko spocjalisci i niewielkie lewe skrzydło radykałów. Reszta chciała jego klęski z tych czy innych względów. Wprawdzie część socjalistów szkodliwa rządowi Bluma, a mianowicie szkodliwa grupa „Marceau Piverta” — mieszanina trockizmu i anarchizmu z domieszką awanturyzmu, ale partia stała mocno przy Leonie Blumie.

Reakcja jest uszczęśliwiona. Prawda, że rząd Daladiera nie jest jej rządem, że to jednak jest rząd około Frontu Ludowego, rząd zależny od większości parlamentu. Ale coś przecie osiągnięto — uwolniono się od Leona Bluma, od rządów socjalizmu. Przecie jest rząd bez socjalistów.

Komuniści również nie mogą ukryć swego zadowolenia. Nie bez entuzjazmu oklaskiwali rząd Daladiera.

To jest „tatyka”, raczej strategia komunistów francuskich. Do czego ich ta strategia doprowadzi — trudno jeszcze teraz przewidzieć. Z pewnością do niczego dobrego.

M. JARBLUM

J. JAARI - POLESKIN

Weizmann i Ormsby Gore

Ten 2. list pada 1917 r. był mglisty, jak wszystkie dni listopadowe w Londynie. Jedno dla narodu żydowskiego przebiegło owego dnia przez gęste mgły proroctw i słońca

Na Downing Street było wielkie ożywienie. W jednym z gabinetów siedzieli angielscy ministrowie i długo się naradzali. Na korytarzu stali wysłannicy blednego narodu, Weizmann i towarzysze czekając z bitem serca na rezultat narady. Lecz oto otworzyły się drzwi i z pokoju obrad wybiegł w pośpiechu sir Mark Sykes, przyjaciel i rzecznik syjonizmu, zbliżył się rozentuzjasmowany do Weizmanna i jego towarzyszy, mówiąc:

— Panowie, urodził się nam chłopak! Oto gabinet angielski zatwierdził dla wysłania do lorda Rotszylda. Była to ośławiona Deklaracja Balfoura.

Później, na bankiecie syjonistycznym ku czci Balfoura, Weizmann, nawiązując do żartobliwego powiedzenia Sykesa, mówił: „Tak, to był chłopak — czasem trochę urwis, czasem zbyt hałaśliwy, ale na ogół, silny chłopak.”

Pierwsze miesiące po opublikowaniu deklaracji były dla przywódców syjonistycznych miesiącami gorączkowej pracy. A lwia część pracy wzięł Weizmann na swoje barki. Deklaracja była krótka, ale mimo to nie brakło w niej trudnych miejsc. W ogóle, deklaracja jako taka była tylko kawałkiem papieru; aby słać w nią życie trzeba było przystąpić do wielkiej pracy twórczej w Palestynie. Jak jednak zacząć tę pracę, gdy tylko część kraju znajduje się w ręku wyzwolającego wojska?

Sytuacja w Palestynie, po zajęciu jej przez wojska angielskie, była trudna. Angielscy dowódcy wojskowi nie znali ruchu syjonistycznego, „Jiszuwu” i Deklaracji. Ponieważ zaś dr Weizmann pragnął przybyć do kraju bodaj jeszcze przed całkowitym wyzwoleniem go z rąk tureckich, by jak najrychlejsz przystąpić do pracy, postanowiono w porozumieniu z rządem angielskim wysłać do kraju komisyję pod nazwą „Waad Hacirim” (Ra-

da Delegatów). Na czele tej komisji stanął dr Weizmann; przydzielił się mu przedstawiciel rządu angielskiego, który będzie rzecznikiem „Jiszuwu” w dowództwie armii. W komisji tej, tak syjonisci, jak i kierownicy rządu angielskiego, widzieli załączek rządu syjonistycznego w Palestynie. Zadaniem komisji miało: „Być reprezentantką organizacji Syjonistycznej, spełniać rolę ciała doradczego przy władzach angielskich w Palestynie we wszystkich, dotyczących Żydów sprawach, jak również w sprawach, mogących wpłynąć na budowę Siedziby Narodowej dla narodu żydowskiego zgodnie z deklaracją rządu Jego Królewskiej Mości”. Jako przedstawiciel rządu wszedł do komisji major Ormsby-Gore.

Zastępcą tego oficera łącznikowego mianowano kapitana Jamesa Rotszylda — nie tylko dlatego, że był brytyjskim oficerem i najstarszym synem „ojca Jiszuwu”, ale głównie dzięki jego zdecydowanie pozytywnemu stosunkowi do odbudowy Siedziby Narodowej w Palestynie.

W „Waad Hacirim” nie było wyraźnego podziału resortów. Josef Roben, Arje Simon i dr. Eder uważani byli za reprezentantów żydostwa angielskiego; prof. Silven Levi — jako przedstawiciel żydostwa francuskiego; w charakterze zaś rzeczoznawców fachowych weszli do komisji: Aron Aronson w sprawach rolniczych i Z. D. Liwontin w sprawach finansowych.

Gdy komisja szykowała się do wyjazdu do Palestyny, sir Mark Sykes przyszedł z propozycją: dodać powagi i autorytetu „Waad Hacirim” przez uzyskanie dla dr Weizmanna oficjalnej audiencji u króla Jerzego V. Audiencja odbyła się w Pałacu Buckingham 8. marca 1918 r. Król znał Palestynę z czasów swojej młodości: zwiedził ją w r. 1882. Był wtedy gościem na „sederze” u naczelnego rabina i już wtedy rozmawiał z jednym z przywódców ruchu „Chibat Cyjon”, a mowa, że zwiedził też wówczas Mykweh Israel. W każdym razie w okresie audiencji Weizmanna królowi nie było

obce sprawy Palestyny.

Lecz posłuchajmy, co dr Weizmann opowiada o posłuchaniu w Pałacu Buckingham:

„Było to w lutym 1918 r. Król rozmawiał ze mną przez 3 kwadransy. Pierwsze pytanie, jakie mi zadał, dotyczyło moich prac chemicznych w czasie wojny. Nie będę teraz o tym szeroko rozprawiać. Pragnę tylko zaznaczyć, że sprawa ta była znana królówi dokładnie. Drugą część rozmowy poświęcił król położeniu Żydów w ogóle, interesując się szczególnie sytuacją Żydów w Rosji. Wypowiedziałem przed królem mój pogląd na położenie Żydów rosyjskich w tym okresie, t. j. po rewolucji bolszewickiej. Gdy mówiliśmy o Rosji, król powiedział mimochodem:

— Zawsze radziłem Mikołajowi, gdy spotykaliśmy się ze sobą, aby więcej interesował się tym, co zachodzi wśród jego ludu. Niestety słowa moje nie wyczerpały na nim należytego wrażenia. Potem król spytał mnie: czy jestem Żydem rosyjskim i jak długo przebywałem w Anglii?

Najważniejszą część rozmowy była poświęcona celom syjonizmu. Król spytał się, czy wierzę, że Żydzi naprawdę poprą ruch syjonistyczny? Nie łatwo mi było wtedy odpowiedzieć na to pytanie. Żydzostwo rosyjskie było rozbite, żydzostwo w ogóle było osłabione i wymęczone. Lecz mimo to, odpowiedziałem królowi: Jest to nasza wiara i nadzieja — jeśli ta wiara i nadzieja zawiodą nas, wtedy zginie naród żydowski. Ponieważ jednak Żydzi będą istnieć wiecznie, dlatego nie rozbijsię się też nadzieja odrodzenia żydowskiego narodu w żydowskiej ziemi.

Król odpowiedział mi na to dosłownie:

— „Napisane jest w Biblii, że Żydzi powrócą do Palestyny i jestem szczęśliwy, że moje królestwo pomoże im w tym. Chętnie będę śledzić z wielkim zainteresowaniem dalszy rozwój syjonistycznej akcji do budowy”.

Członkowie komisji zatrzymali się

po drodze w Egipcie, by nie naruszyć podróży święta Pesach. Major Ormsby-Gore wyprzedził „Waad Hacirim” i udał się do Palestyny do dowództwa armii, aby przygotować grunt dla komisji, a także zająć się oficjalnym przyjęciem, które by odpowiadało doniosłości jej zadania.

Ormsby-Gore poinformował generała Louis Buls'a o charakterze komisji, ale generał nie tylko nie zgótował przyjęcia, ale nawet rozkazał, aby w Tel-Awivie nie urządzać publicznego powitania. Jednak, czego zabroniono w Tel-Awivie — na to pozwolono w Jerozolimie. Wielki, rozentuzjasmowany tłum, wśród którego wyróżniali się „Makabejczycy” swymi mundurami i syjonistycznymi sztandarami, oczekiwał przybycia przywódców syjonistycznych. Komisja udała się natychmiast do rządowego pałacu, gdzie z wielkim szacunkiem została przyjęta przez gubernatora Jerozolimy, płk. Stora'a. Delegacja wszystkich części ludności Jerozolimy przybyła, by przywitać gości. Zmienił się też na lepsze stosunek administracji angielskiej do komisji syjonistycznej.

W tym czasie dr Weizmann nawiązał kontakt z przedstawicielami społeczeństwa arabskiego. Pragnąc zdobyć arabską opinię publiczną, dr Weizmann zdecydował się na doniosłe posunięcie. Razem z Ormsby-Gorem udał się w czerwcu do Transjordanii, aby spotkać się na pustyni z emirem Feisalem, a za jego pośrednictwem nawiązać kontakt oficjalny z narodem arabskim.

Dr Weizmann opowiadał później o tej podróży w stylu biblijnym: „Dwanaście dni byłem w drodze, z tego pięć dni na pustyni. I wspiąłem się na górę Synaj i przebyłem ziemię Moab. A powiedziałem emirowi Feisalowi, że oto przychodzę do niego, więc wysłał mi na spotkanie swych ludzi, a z nimi dary: chleb i sól i wielbłądy i bydło. I nadszedł ostatni dzień podróży i ogarnęło mnie dziwne uczucie: oto ujrzałem wjeżdżającego Abrahama. Jak on, tak i ja zbliżałem się do ziemi, którą Bóg przyrzekł swemu wyzwolonemu narodowi, jak on, tak i ja przekroczyłem granice Moabu, aby objąć w spuszczającą ziemię... Tysiące lat, trzy — cztery tysiące lat zostały zapomniane i znikły. A czułem się tak, jakbym wczoraj dopiero był tutaj,

jakby wczoraj dopiero przeszedł tędy nasz praojciec Abraham. Poczułem: wszystkie te dni galutu i wędrówek, wszystkie te kraje, któreśmy zamieszkiwali, wszystkie cierpienia, które znosił śmy — wszystko to jest niczem. Most został przerzucony pomiędzy daleką przeszłością a teraźniejszością. A ziemia, którą Bóg przyrzekł nam dać — nasza jest...”

Przy innej sposobności Weizmann opowiedział o spotkaniu z Feisalem:

„Przyszedłem do Feisala i powiedziałem mu: w Tobie świat widzi przedstawiciela narodu arabskiego; chcę abyś zrozumiał, że przychodzę z tym samym posłannictwem, z którym przyszedł moi przodkowie przed czterema tysiącami lat. On zrozumiał. On zgodził się. Emir Abdallah (brat Feisala) twierdzi, że brat jerozolimski o tym. Ale ja nie zapomniałem.”

Ormsby-Gore wkrótce opuścił Palestynę. Przed wyjazdem wziął udział w zgromadzeniu reprezentantów „Jiszuwu”, gdzie powiedział m. i.: „My Anglicy osiągnęliśmy najlepsze co jest w naszej kulturze dzięki biblii, dlatego odczuwamy głęboko wartość tego, co zamierzamy tutaj dokonać. Ruch syjonistyczny nie jest tylko ruchem politycznym, ale siłą duchową. Jeśli powiedzie się mu, wtedy stworzy wielką rzecz dla całego świata.”

Dr Weizmann skorzystał z tej okazji, by podziękować Ormsby-Gore'owi za wszystko, co uczynił dla syjonizmu: „Jeszcze nie nadszedł czas, by wyrazić Panu nasze podziękowanie za wszystko, co zrobił dla nas. Mogę tylko powtórzyć słowa, które w tych dniach pisałem do p. Balfoura. Powiedziałem, że brak mi słów dla wyrażenia wszystkiego, co Pan zdołał w charakterze politycznego oficera tu i za granicą. Wszyscy się spodziewamy, że będzie Pan miał dość siły do kontynuowania tej cennej pracy także w przyszłości. Za parę dni wyjedzie Pan do swej ojczyzny. Niech Pan odda tam rządowi brytyjskiemu wieści w naszym imieniu. Niech Pan powie, że Żydzi na zdobytym terytorium wykazują wprawdzie czasem objawy braku cierpliwości, a czasem sa niezadowoleni z wielu rzeczy, lecz mimo tego wszystkiego pełni są wiary w Aneli.”

Były to miodowe miesiące Deklaracji.

J. BLEIBERG

Życiowy sens tragizmu

Pojęcie tragizmu należy do tych kategorii literackich, które przeszły z ograniczonego terenu literatury pięknej do sfery życia codziennego, z terminologii ściśle literackiej do mowy potocznej.

W tym też czysto życiowym, praktycznym aspekcie zamierzamy omówić



problem tragizmu, który jest w głębokim swym sensie „chlebem powszednim” naszego życia codziennego, najistotniejszym wyrazem jego prężności i dynamiki.

W mowie życia codziennego używamy terminu „tragizm” dla podkreślenia jakiegoś wyjątkowego, fatalnego zbiegu okoliczności, sytuacji niezwykle w nagromadzeniu elementów „zła”, osaczającego człowieka w chwili, gdy się najmniej tego spodziewa uderzającego weń nagle z groźną potęgą żywiołu. W tym znaczeniu sytuacja tragiczna jest swego rodzaju katastrofą, w której wszelka akcja ratunkowa okazuje się najczęściej spóźniona i bezskuteczna. Zmiazdzeni i bezradni stajemy wobec „nieszczęścia”, gdyż „sama odwaga załamuje ręce”. Tragizm nasz polega wówczas na zupełnej bezsilności wobec faktów, wstrząsających całą naszą duchowością, podmywającą podstawy naszej wiary i ufności, rodzących hłobowe bluznierstwo i prometejski protest przeciwko owemu nieznanemu wrogowi. „mieszającemu ludzkie rzeczy, nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy” (Kochanowski), przeciwko okrutnej tyranii ślepego losu, o którym mówili starożytni Grecy, że jest wszechwładnym panem Bogów i ludzi. Nieliczni tylko mogą bez szemrania i ze stoicką obojętnością podać się wyrokom wyższej konieczności i dojść do stanu, który Nietzsche nazwał amor fati — umiowanie przeznaczenia. I tu dopiero wkraczamy w samą istotę naszego zagadnienia. Tragizm „zewnętrzny”, obiektywny, sytuacyjny stanowi jeden tylko jego składnik, bynajmniej nie najważniejszy, ani też rozstrzygający o jego wewnętrznej treści.

Znacznie ważniejszy, bo bezpośredni dotyczący ludzkiego wnętrza jest tragizm subiektywny, psychologiczny. Jego istotą jest walka z psychicznym żywiołem, z wewnętrznymi sprzecznościami naszego ducha. Jesteśmy tragiczni w istocie i głębokim znaczeniu wyrazu, nie wówczas, gdy ulegamy przemocy sił zewnętrznych, transcendentnych, niezalegających od naszej woli czy rozkazu, ale raczej wtedy, gdy pasujemy się z samymi sobą, gdy przeżywamy walkę wewnętrzną, kolizję między sprzecznymi uczuciami, lub dążnościami, gdy znajdujemy się między młotem a kowadłem dwóch różnych wzajem wykluczających się wewnętrznych nakazów, z których każdy z jednakową siłą domaga się od nas spełnienia, gdy jesteśmy wewnętrznie rozdwojeni i rozdarci, gdy, mówiąc słowami poety, musimy się dziś zwyciężyć, aby jutro dożyć...

W stanie takiego duchowego fermentu wewnętrznej kakofonii, kontrolująca działalność rozumu jest całkowicie zawieszona, kierują nami ślepe irracjonalne siły, jesteśmy „narzędziem i zegarem” jakiegoś wewnętrznego demona, który nas opętał, znajdujemy się między Scyllą a Charybdą dwóch wrogich sił, tocących walkę między sobą o duszę naszą, ale niejako bez naszego udziału. Z psychicznej tezy i antytezy nie umiemy stworzyć wewnętrznej syntezy, któreby nam przywróciła „utracony raj” spokoju i równowagi ducha.

Skreślony przez nas obraz wewnętrznego zagadnienia nie stanowi jednak końcowej formy tragizmu psychologicznego. Istnieje jeszcze stan ducha, w którym napięcie tragiczne jest znacznie głębsze i bolesniejsze, bo upakarzające i obrażające naszą ludzką godność. Da się on najkrócej opisać słowami Owidiusza: Video meliora proboque deteriora sequor — Widzę i pochwalam, to co lepsze, idę jednak za gorszym. Tragizm tego

typu polega na tym, iż mimo pełnego rozumienia i niezmaconego światła świadomości, postępujemy jednak wbrew własnemu zdaniu, mimo najjaśniejszej samowiedzy, wybieramy błąd, aczkolwiek zdajemy sobie doskonale sprawę ze wszystkich jego zgrubnych dla nas skutków. Rozsądek i wiedza nietylko nam nie pomagają, ale nawet pogłębiają tragiczne poczucie naszej kompletnej bezradności, i całkowitego zniewolenia. Wówczas stwierdzamy z bólem słusność słów Ekklezjasty: „Kto mnoży wiedzę, ten

mnoży boleść. Bo też istotnie byłibyśmy spokojniejsi i szczęśliwsi, gdybyśmy popełnili błąd, nie uświadamiając sobie przytomnie, iż postępujemy wbrew własnej korzyści, gdyby rozum nie pozbawił nas złudzenia, iż postępujemy właściwie. Gdy myślimy o tym typie tragizmu nabierają dla nas szczególnej uwagi i filozoficznej głębi słowa schillerowskiej Kassandry „Nur der Irrtum ist das Leben und das Wissen ist der Tod”.

Ta najwyższa, naszym zdaniem forma tragizmu jest najsilniejszym argu-

mentem ujawniającym słabą stronę stanowiska intelektualistycznego w etyce, faktyczny „niedobór” tego optymistycznego poglądu, głoszącego, iż wystarczy dobrze wiedzieć aby dobrze czynić, któremu dał klasyczny wyraz Sokrates, ojciec intelektualizmu etycznego, w swojej tezie, iż wiedza prowadzi z konieczności do cnoty. — Wiemy, że bywa niestety zgoła inaczej, że konieczność, o której mówi ateński mędrzec, zostaje zdystansowana przez inną konieczność, przez nie-

ujarzmioną potęgą czynników afektywnych świadomych i nieświadomych, przez całą tę sferę przeżyć i doznań „odkrytą” przez dzisiejszą psychologię, wprowadzającą nas dopiero w tajniki dzungli ludzkiego ducha, w sferę nieznanego dotychczas „ładu” psychiki człowieka. Nie jest z nią bynajmniej tak dobrze, jak myślał Sokrates, któryby i sam zapewne ograniczył swój intelektualistyczny optymizm, gdyby znał psychoanalizę.

Mimo różnych zakresów wyodrębnionych przez nas dwóch odmian czy typów tragizmu zachodzi jednak między nimi pewna istotna analogia. W jednym i drugim wypadku podłożem tragizmu jest, fatalizm, nieodmienność przeznaczenia. W obu wypadkach ulegamy konieczności, jesteśmy ofiarami pewnego fatum, zewnętrznego lub wewnętrznego, w obu wypadkach zostaliśmy wpłeceni w łańcuch przyczyn i skutków, którego stanowimy jedno tylko ogniwo. Gwoli naukowej ścisłości, należałoby raczej w naszym wypadku zamiast o fatalizmie, mówić o determinizmie, o zasadzie powszechnej przyczynowości, panującej zarówno w świecie zewnętrznym, jak i sferze ludzkiego ducha, o którym w 17 wieku powiedział Spinoza, że wszystko, co w nim zachodzi, dzieje się z tą samą koniecznością, z jaką z natury trójkąta wynika, iż suma jego kątów równa się dwóm prostym. Istotą wewnętrznego fatalizmu jest to, co tworzy substancję naszej osobowości, to, co jest w niej stałe i niezmiennie, z czym przychodzimy na świat i co nam towarzyszy do grobu. Goethe nazwał tę „psychiczną niewiadomą” demonicznym pierwiastkiem psychiki „Das Dämonische”, chcąc przez to podkreślić, iż jest w nas coś tajemniczego, niezbadanego, determinującego niejako zgory cały rozwój naszego wewnętrznego życia. Wydaje nam się, iż kierujemy naszymi postępkami, ale w gruncie rzeczy nasz wewnętrzny los, duchowe fatum, dyktuje nam myśli i posunięcia. „Es glaubt der Mensch, sein Leben zu leiten, sich selbst zu führen; und sein Innerstes wird unüberwindlich nach seinem Schicksale gezogen (Goethe: Egmont)”. „Nie mogąc w niniejszym artykule zająć się bliżej trudnym problemem zmienności podstaw osobowości, pragniemy tylko podkreślić, iż podłożem tragizmu psychologicznego są pewne duchowe cechy jednostki, stanowiące w pewnym sensie jej wewnętrzne przeznaczenie. One też są źródłem naszej pozornej wewnętrznej wolności, którą trafnie i dowcipnie określił Schopenhauer, mówiąc, iż człowiek może wprawdzie robić, co chce, nie może jednak chcieć, jakby chciał...

Wobec tego, iż pojęcie tragizmu jest kategorią „wypożyczoną” przez język potoczny z literatury, uważamy za obowiązek spłacić jej dług wdzięczności w postaci krótkiej bodaj uwagi o czysto literackim aspekcie zagadnienia. Z bogatej literatury, poświęconej problemowi tragizmu, rozpatrywaniu w niej z metafizycznego, fenomenologicznego i psychologicznego punktu widzenia, przytoczymy tylko zblżony do wyżej przedstawionego, pogląd niemieckiego estetyka i psychologa Teodora Lippsa, jednego z najwybitniejszych teoretyków naszego zagadnienia. W pracy swojej p. t. „Der Streit über die Tragödie” odróżnia dwa rodzaje tragedii: tragedię łą i tragedię złego człowieka (Tragödie des Übels i Tragödie des Bösen) i w związku z tym dwa rodzaje tragizmu: tragizm losu i tragizm charakteru. Pierwszy występuje w tragedii greckiej. najklasyczej w „Królu Edypie” Sofoklesa, typowej tragedii przeznaczenia, druga zaś odmiana tragizmu występuje w tragediach szekspirowskich i dramatach Ibsena. W klasycznej tragedii źródłem tragizmu bohatera jest najczęściej transcendentna, poza nim istniejąca instancja przeznaczenia, której musi on ulec niezależnie od swej moralnej wartości. Dźwiga bowiem na sobie brzemie winy przodków, za popełnione przez nich w stosunku do bogów przestępstwa jest on odpowiedzialny. W tragedii zaś nowożytnej u Szekspira, Ibsena i inn. przyczyna tragizmu jest immanentna, tkwi w duszy bohatera, w jego wewnętrznym fatum, w jego charakterze, uśposobieniu, skłonnościach i t. p. wobec których jest jednak tak bezsilny, jak bohater tragedii klasycznej wobec wyroków Losu.

W wywodach naszych o tragizmie „życiowym” nie ilustrowaliśmy przykładami. Sądymy bowiem, iż czytelnik znajdzie dość materiału ilustracyjnego we własnych lub zaobserwowanych przeżyciach. (Tragizm jest integralnym elementem naszego wewnętrznego życia, najgłębszym wyrazem — dialektyki ludzkiego ducha, mocującego się z tajemną siłą cha. — mocującą się z tajemną mocą swego wewnętrznego przeznaczenia, z nieznanym Demonem jaźni.

MAURYCY SZYMEL

Opis wiosny

Gdy byłem małym chłopcem pukała wiosna nabrzmiałymi gałązkami kasztanu do okna klasy, w której siedziałem pochylony nad zeszytem, siłąc się nad zadaniem mi przez nauczyciela opisem tej pięknej pory roku. W piosenkach, których uczyliśmy się w szkole była ta wiosna opisana, ale nie zawsze żywo i prawdziwie.

Wróciła wiosna
W maju zieleni...

Tymi oto słowami kazano nam witać narastanie młodych traw i słodycz pierwszej kwietniowej słoneczności. Albo:

Wiosna, wiosna
Wleść radosna.

W wypracowaniu, które zadał nauczyciel pisałem zapewne tak, jak wszyscy chłopcy w moim wieku we wszystkich szkołach i na wszystkich kontynentach:

„Wiosna jest najpiękniejszą porą roku. Wszystko budzi się do nowego życia. Słońce przygrzewa, a drzewa są zielone. Dni stają się dłuższe a noce krótsze. Rolnik uprawia ziemię. Ptaszki wróciły z ciepłych krajów i lepią sobie gniazda.”

A gdy skończyliśmy wypracowanie, kazal nauczyciel na zakończenie zaśpiewać jedną z niezliczonych piosenek o wiosnie:

Słońce przygrzewa,
Jasno, ogniste,
Strój się drzewa
W zielone liście

Słowem, wiosna to było coś do rymowania. I do śpiewania.

A tymczasem na ulicy była prawdziwa wiosna. Bruki płynęły w słońcu, dachy ociekały słońcem, a drzewa były naprawdę zielone. (Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że można wszystką zielenią wiosny i całą jej słoneczność przenieść w słowa i to tak, aby zieleni była zielenią i pachniała lasem wieczornym, aby deszcz był prawdziwym deszczem, którego ciepła wilgoć czuje się na obnażonej, pijanej młodej głowie i, aby słońce naprawdę było słońcem. Nie wiedziałem wtedy jeszcze o istnieniu magii, której na imię poezja. Dopiero w wiele lat później natknąłem się na to coś, co odbiera sen i każe biec w samotności zieloną i w daleką słoneczność pełną ciszy i zadumy. Jakże opacznie i jakże radośnie dorozumiewałem się treści w czterowierszu Omara Khayyama:

Pośród zieleni z małym kęsem chleba
I winem, książką poety i sobą,
Pustyni pieśniarzem opodał nuciącym
Ucieczką będzie i rajem pustynia.

Myślałem, że wielki Omar Khayyam śpiewa w tym wierszu rozkosz i radość samotności. Nie umiałem jeszcze wtedy zgłębić tej całej świetnej treści zawartej między wierszami słów Omara Khayyama. Dziś wiem już, że, aby pustynia mogła być ucieczką i rajem dla człowieka musiałby on, człowiek, wypić wszystką gorycz ziemskiego życia i poznać całą bezradność ludzkości, w obliczu tego, co wieczne i płynne.

A gdy w parę lat potem siedziałem w kręgu zieleni wiosennej z kimś, kto miał oczy płochy i włosy podobne słońcu, zacząłem rozumieć piękno zawarte w strofach:

Cóż mi szmery lekkuchne gałązek.
I chór ptasząt, co w gęstwinie dzwoni?
Och, jak pełne jest boskiej harmonii
Słowo: Kocham na harfie twych ust.

Lecz zakończenia tego wiersza wtedy jeszcze nie pojmowałem:

Falą włosów zakryj mi te kwiaty,
Obojętne, co w krąg nas rosną:

One z nową powrócą znów wiosna,
Ty nie wróciś więcej nigdy już.

Nie rozumiałem, co znaczy: ty nie wróciś więcej nigdy już. Bo i poco odchodzić i poco nie wracać, gdy dokoła tyle jest słonecznej zieleni, a tuż obok spoglądają na ciebie oczy, w których zawarta jest wszystka zieleni i słoneczność wszystkich światów jest zawarta. I co znaczy słowo: nigdy. Życie było wżak wtedy ujęte kartami rozkładu godzin szkolnych. Wiedziało się wtedy, co po czym następuje. A gdy otrzymywało się stopień niedostateczny z jakiegoś przedmiotu, można się było przecież poprawić. Wszystko można było wtedy poprawić, bo nie było niepowrotnym. Wiosna była wiecznością i miłość wiecznością była. Radosną wiecznością. Wiecznością domagającą się uwiecznienia w radosnym słonecznym wierszu. Więc pisało się wtedy w zeszytach tuż obok figur geometrycznych i notatek z łaciny wiersz o wiosnie:

Chłonę, chłonę
Sosny i oczy twoje zielone,
Raduje mnie wszystko i niepokoi
Szum wiatru i szelest sukni twojej —
W zalewie słońca, w potopie światła
Pachną twe ręce i kwiaty.

Dopiero znacznie później zaczęła wiosna pokazywać swoją cienistą stronę. Zaczęłem godzić się z faktem, że wiosna jest nie tylko słońcem, ale i chmurą, a nawet i błyskawicą i że trzeba te chmury i te błyskawice przyjąć w siebie z miłością, jak się przyjmuje zieleni i złoręczność świata. Zrozumiałem wtedy, jak głęboko pojmuje wiosnę Maria Pawlikowska w tym oto tragicznym czterowierszu:

Dwa obłoki na pustym niebie
I my w oknie salonu sami.
Chmury tuż się mocno do siebie
Cicho krzycząc błyskawicami.

A więc i w mocnym przytuleniu, które jest wżak miłością, drżem błyskawice. A więc burza wiosenna. W naturze i w człowieku. I nie tylko w człowieku, ale burza w społeczeństwie. Zaczęłem wtedy przeciwuwać potęgę zawartą w genialnym poemacie Rimbauda o tragicznej wiosnie paryskiej: „Gdy Paryż się budzi”.

Żyćcie! Na cześć królowej o zadzie fa-
listym,
Napawajcie się pieśnią czkawek i belko-
tów,
Słuchajcie, jak się w mroku ciskają
ognistym,
Chmara starców, lokajów, ochrypłych
idiotów.

A więc wiosna przewrotności, zdrady, ucisku i gwałtu, wiosna wielkich milionowych miast pełnych głodu i śmierci:

W lepszych pękach śpią liście zdławione,
Jęczą drzewa z zieleni odarte,
Tylko nocą przez okna otwarte
Ciepły wiew truje serce zmęczone,

Późna wiosna nierozkwitłych cieni,
Czy ze wschodu przyjdiesz, czy z zachodu,
Czy na imię będziesz miała październik
Wiosno ludów, czy też wiosno głodu?

Tak pisze o wiosnie Antoni Słonimski. Tragiczne to podejście do wiosny. Jak dalekie od tamtych, naprawdę zielonych i beztroskich wiosen młodości. Wtedy, jak to stwierdza w swym wierszu o wiosnie i słowikach Eugeniusz Małaczewski, można było widzieć wiosnę bez błyskawic:

Kasztany stoją kwitnące
(Cichsze niż grusze te z miedzi)
W palczastych liściach koronke

I w kwiatkach, jak w pękach świec.
Stanęły w kwitnącym kole
Spowite w wieczorny cień;
Są jakoby żyrandole,
Co płoną w święteczny dzień.

Dziś zmuszają nas poeci do innego widzenia wiosny. Oto jak wiosnę widzi poeta żydowski Abraham Ptaszkin:

Oni są zadowoleni: minęła zima.
Brudny i zawstydzony leży śnieg na skwerze,
Pozbawionym chleba trudno jest dzień przetrzymać.
Nogi wloką się ciężko po błocie świeżym.
Słońce grzeje strugą złotą,
Błoto topi się w parku.
Wyrok jest gotów.
Nieswojo jest głowie na karku.

Do słowiczej poezji o wiosnie wtargnęły dziwne i obce jej słowa. Jest i słowo „brudny” i słowo „chleb” i to, że nogi wloką się ciężko po błocie i straszne niewiosenne słowo „wyrok”!

Jakże niepodobną do wiosny Abrahama Ptaszki na jest wiosna Mieczysława Brauna z przed dziesięciu laty:

Wleń krasnoplota, studzienna, biała,
W zbożach wykwiła chabrem dorodnym,
Śpi jak poziomka ciężka dojrzała
Pod liściem drzewa modrojągodnym.

O takich wiosnach trzeba będzie chyba w ogóle zapomnieć. Będą one wspomnieniem, słodkim wspomnieniem jak pieśń przedwiosenna Feliksa Przysieckiego:

A mocny wiatr kwietniowych przedwiosennych nocey
Ożywczy niby strumień zimnej czystej wody
Na cześć twoich nadziei i młodzieńczych mocy
Natechnionym hymnem miejskie napelnia ogródy.

Trzeba będzie zapomnieć. A może nie trzeba będzie. A może należałoby raczej uwierzyć żydowskiemu pocie Berowi Sznaperowi, który w swym wierszu o wiosnie modli się o to, aby mógł zapomnieć, że noce są czarne, a szare — dni, i że niedza wciąż trwa, i że śmierć jeszcze jest. I że wciąż jeszcze nie jest przetruczonej most ku dalekiemu, błękitnemu, ludzkiemu szczęściu.

Czy należy o tym zapomnieć? I czy można?

Narazie zieleni zwycięska rzuca swe światło drgające na świat i smugami rozsuwa się po ścianach i ścieżkach w zagajkach wyląca i słodyczą serce napelnia.

Dni stają się dłuższe a noce krótsze... Ileż radosnych obietnic zawiera w sobie to proste stwierdzenie faktu. I chciałoby się to naiwnie przenieść na stosunek między ludźmi, że to niby — wroga przemoc, moc zbrodni i okrucieństwa staje się krótszą a młody wiosenny dzień wolności staje się dłuższy... Bo oto i rolnik uprawia ziemię i ptaszki wróciły z ciepłych krajów — zwiastuny śpiewnej słoneczności i ćwierkliwej zieleni!

Tak!
Wiosna to najpiękniejsza pora roku!
Pora ciszy i wiosnej zieleni.
Nic tedy dziwnego, że ją tak poeci miłują. Nawet tak surowy zawsze Norwid nie oprze się urokom wsi zielonej, gdzie cisza spada liściem na czoło człowieka życiem i wrzawą utrudzonego. Bo:

Na wsi, słowik jest piewca, on tam nie dba wcale,
Czy go pośród okłasków przyjął okazał,
On, w nocy, pod okienkiem śladzi na kalinie.
Nawet o tem i nie wie, że śpiewa dziewczynie.
On, wesół, skubie listki wonnego jaśminu,
Bawi się niemi, gęślarz, swobodny —
Bo dla niego liść każdy jest liściem wawrzynu.

ANTENA ŚWIATA

Tajemnica Louis Lespinasse'a

W miejscowości Po, w wieku 69 lat zmarł komendant Louis Lespinasse, inwalida wojenny, piastujący w latach 1919—1925 stanowisko dowódcy twierdzy Verdun ze specjalną misją, a mianowicie pokazywał on i objaśniał głowom państw, ministrom i wpływowym osobistościom w jaki sposób odbywała się bitwa pod Verdun. W listopadzie 1920 r. Lespinasse'a spotkał niezwykle zaszczyt. Wybrał on z ośmiu pół bitewnych, szczytki żołnierza, które zostały pochowane w ziemi pod Łukiem Tryumfalnym w Paryżu.

Teraz można zdradzić tajemnicę Lespinasse'a. Wiedział on skąd przywiezione zostały groby. Aby tajemnica została zachowana trzykrotnie zmieniał ludzi ustawiających groby w verdunskiej fortecy.

I osiągnął to, że każda matka, każda żona zabitego na froncie Francuza, przechodząc obok Mogiły Nieznanego Żołnierza, pomyśli sobie: tu spoczywa mój syn albo mąż.

Zaden człowiek we Francji prócz komendanta nie wiedział skąd zostały przywiezione szczytki Nieznanego Żołnierza, czy Szampani, Flandrii czy też z Alzacji.

Komendant Lespinasse zabrał ze sobą do grobu tę tajemnicę.

Wallace Beery o Anschlussie

Znakomity amerykański artysta filmowy Wallace Beery odbywa obecnie podróż po Europie. Przypadkowo znalazł się we Wiedniu w dniu „przyjaznej wizyty“ i hitlerowskie wiedeńskie gazety podały jakoby Beery wyraził miał zachwyt dla idei Anschlussu.

W tych dniach w londyńskiej gazecie „Evening Standard“ ukazało się sprostowanie Beery:

„Nie mógłbym nigdy powiedzieć przypisywanych mi słów, gdyż to co widziałem w Austrii wywołało we mnie uczucie wstrętu.

Malo tego. Natychmiast uprzedziłem uiego przyjaciela, Douglasa Fairbanka — jun., który miał zamiar wybrać się do Austrii, aby zaniechał swoich zamiarów, jeżeli nie chce zachorować ze zmartwienia. Znam dobrze charakter i usposobienie Douglasa: nie umie on trzymać języka za zębami co w dzisiejszym Wiedniu może w bardzo krótkim czasie zaprowadzić za kratki więzienne.“

Rekord

Znajduje się w miejscowości Hohenlynehen w odległości 50 km od Berlina szkoła atletów, gdzie uczniami są wyłącznie ułomni. Ludzie którzy w jakimś wypadku stracili rękę czy nogę uczą się w Hohenlynehen odzyskiwać wiarę w siebie. Widzimy często w Hohenlynehen ludzi o jednej nodze, ćwiczących się w skokach wzwyż, czy w dal, zdarzają się tam często zawody bokserskie, kiedy zawodnicy walcą tylko jedną ręką itp.

W Szwajcarii słynny przewodnik genewski Roger Tschumi pomimo utraty nogi nie zaprzestał swych wysokogórskich wycieczek i po parę razy w tygodniu prowadzi cudzoziemców na szczyty gór szwajcarskich.

Niezwykły wypadek

Opinia publiczna w Chicago zainteresowała się ostatnio wypadkiem młodego ucznia Franka Balek, który przez szereg lat doprowadził do rozpacz swych nauczycieli, albowiem w żaden sposób nie mógł sobie przyswoić sztuki pisania. Ponieważ matka Franka jest małkutem, polecono Frankowi, aby zaczął pisać lewą ręką: zaczął obracać kartkę papieru na wszystkie strony, aż w końcu odwrócił ją.

Obecnie Frank pisze dosyć biegle z prawej strony ku lewej zaczynając u dołu strony. Jego nauczyciele pogodzili się w końcu z tym faktem i chęć odczytać jego ćwiczenia odwracając jego zeszyt. Psychiatrzy amerykańscy, którzy zainteresowali się tym wypadkiem doszli do wniosku, że jest to rodzaj stereosymbolizmu. Jak twierdzą uczeni, każde dziesiętne dziecko zdradza symptomy stereosymbolizmu w mniejszym lub większym stopniu.

Zagubieni...

Od lat krążą wersje jakoby na Syberii istniały po dziś dzień obozy jeńców. Pewien żołnierz austriacki Paweł Rudolf z Neunkirchen, który przybył niedawno do swojej siostry o Tirany na nowo zaczął głosić tę legendę.

Wzięty do niewoli w Galicji w 1916 r. Rudolf pracował w całym szeregu obozów dla jeńców zarówno na Syberii jak i w Mongolii środkowej. Na krótko przed swą ucieczką pracował przy budowie fortyfikacji na granicy Mandżurii.

Rudolf twierdzi, że armia 70 tys. ludzi, których od lat uważa się za nieżyjących we własnej ojczyźnie, żyje po dzień dzisiejszy w Rosji Sowieckiej. Niekiedy z nich znajdują się w obozach i używani są do najcięższych prac. Inni znów wiodą żywot osadników, pożenił się, założyli rodziny, zapominając całkowicie o kraju z którego pochodzą.

Żaloba w Hollywood

Stolica filmu okryta jest żalobą. W ciągu czterech dni zmarło w Hollywood sześć ogólnie lubianych i wiele popularnych osób.

We wszystkich tych wypadkach śmierć nastąpiła nagle, całkiem niespodziewanie.

Pierwsza umarła na atak sercowy młoda jasnłowska Polka, Lydia Roberti, słynna w całej Kalifornii.

Roberti była partnerką Patzy Kelly, której poprzedni partnerzy Jean Malin i Telma Told zmarli nagle przed paru lat. Przesadna publiczność amerykańska przypisuje winę Patzy Kelly, twierdząc, że przynosi ona nieszczęście swoim partnerom.

W kilka godzin po śmierci Roberti dostał ataku mózgowego i zmarł natychmiast 46 letni Kube Glasman, słynny scenarzysta.

Leez na tym nie koniec. Następnego już dnia zmarł na atak sercowy młody 31. letni Hary Blond, lekarz, który do swych pacjentów zaliczał najwybitniejsze gwiazdy i gwiazdorów. On to właśnie uratował ciężko chorą, przed niedawnym czasem, na zapalenia płuc, Simone Simon.

W dwa dni później zmarł na atak sercowy, w chwili, gdy zamierał wezwać lekarza Ernest Dryden, najwybitniejszy ponoć projektodawca kostiumów w Hollywood.

Wkrótce po nim zmarł scenarzysta Anstin Parker, były mąż Miriam Hopkins. Ten niezwykle zdolny dziennikarz i autor dramatycznych, był w czasie wojny lotnikiem w eskadrze „La Fayette“.

Tragiczną serię zgonów kończy śmierć reżysera Dear Appela, który wróciwszy z pogrzebu swego przyjaciela Parkera dostał ataku sercowego i zmarł.

Jak w bajce

Było to przed piętnastu laty: małeńka Jill, która była wtedy jeszcze prawie dzieckiem, spotkała i poznała bliżej poetę Jima Phelana, który wówczas znajdował się „poza nawiasem prawa“, albowiem brał udział w irlandzkich walkach politycznych.

Jim Phelan przezwany był „młodym świadkiem“, albowiem jego odważne milczenie uratowało życie wielu osobistościom politycznym w procesach sądowych. Sam Jim został skazany na dożywotnie więzienie; posił on swych przyjaciół aby o nim zapomnieli i uważali go za nieżyjącego.

Jedynie małeńka Jill nie mogła i nie chciała go zapomnieć. Porzuciła rodzinę i przyjęła posadę służącej w pewnym niewielkim barze, znajdującym się vis a vis więzienia. Od czasu do czasu zjawiała się przed więzieniem, aby popatrzeć na Jima przynajmniej z daleka i chowała skrzętnie wszelkie skrawki papieru zapisane przez Phelana, albowiem kochała go i wierzyła, że będzie z niego kiedyś wielki poeta.

Pewnego dnia przesłano Jima do innego więzienia i przez cztery lata małeńka Jill nie widziała swego ukochanego.

Jednakowoż po długich czterdziestu latach stał się cud i Phelan został zwolniony. Jill dowiedziała się o tym i udała się do Portsmouth, aby go oczekiwać. Wierność Jill została wynagrodzona, Jim Phelan poślubił ją, mają już obecnie dziecko i śnają wyraz szczęśliwości.

Wydawca Phelana drukuje obecnie „Lifer“, dzieło napisane w więzieniu, które wielu krytyków naprawdę poważnych uważa za arcydzieło. Jednym słowem wszystko kończy się nieczem w bajce.

Akrobatyka

Pod wpływem i na wyraźne życzenie ministra wojny Horre-Belisha armia brytyjska zabrała się poważnie do pracy, aby uczynić zawód wojskowy ponętnym w kraju, gdzie tradycyjnie zaciąganie się do wojska odbywa się się bardzo opieszale. W tym też celu, w czasie jednego z popisów wojskowych, motocykliści dokonywali cudów zręczności. „Numer“ ułożone zostały nieczem w cyrku: jedna małeńka niedokładność ruchu mogłaby wywołać fatalne następstwa i zakończyć się katastrofą. Ale na szczęście motocykliści wojskowi są doskonale wyćwiczeni i wszystkie trudniejsze ćwiczenia odbywają się bez najmniejszego wypadku.

Walka z rakiem

W ciągu ostatnich lat trzydziestu wzrosła dwukrotnie śmiertelność wśród ludzi umierających na raka. Niestety nauka jeszcze do dziś dnia nie zgłębiła przyczyn, powodujących tak groźną chorobę wśród narodów o wysokiej kulturze. Dzięki doświadczeniom z promieniami X osiągnięto w Ameryce rezultaty wcale za dawałnające. W jednym ze szpitali w Nowym Jorku, wyspecjalizowanym w terapii przeciwrakowej, używa się do leczenia raka w ustach — maszyn o napięciu 200 tys. Volt, która wysła promienie uzdrawiające o bardzo wysokim napięciu.

Nowoczesne pogaństwo

Będzie rok temu jak w prowincjach Bahia i Pernambuco, w Brazylii, narodziła się nowa i dziwna a raczej niesamowita religia. „Bogiem“ był wspaniały biały koń, który nazywał się Francellion, a prorokiem jego był brazylijczyk José Laurence.

W ciągu kilka tygodni leżba zwolenników boga-Konia stanowiła legion; i rząd nie na żarty zainteresował się tym niesamowitym fanatyzmem.

Trancecion był koniem o wielu postaciach, Albowiem za każdym razem, gdy umierał ktoś z jego zwolenników, „bóg“ przyjmował postać białego rumaka aby zaprowadzić wierne go do raju. Wyznawcy boga-konia zaczęli do tego stopnia przesładować chrześcijan i ich misjonarzy, że rząd był zmuszony wysłać przeciwko nim ekspedycję karną z 90. ludzi aby schwyciła konia i jego proroka.

Koń został wzięty do niewoli. Dzisiaj nie żyje. Leez Laurence jego apostoł zdołał zbiec. Ogłasza on zjawienie się nowego białego konia i już zawczasu głosi swe przekonania religijne, zapowiadając wojnę krwawą tym wszystkim, którzy będą się przeciwstawiać szerzeniu jego religii.

(I—y)

O ŚWIADCZENIE

W związku z listem p. Dr T. Zaderckiego w nr 142 „Naszej Opinii“ w sprawie artykułu J. Bleiberga p.t. „Bóg Amenofisa i Mojżesza“ w Nr 14 „Steru“ — Redakcja oświadcza, że nazwisko tłumacza p. Dr Zaderckiego przez przeoczenie natury technicznej zostało w artykule opuszczone — za mimowolną przykrość Szanownego Tłumacza uprzejmie przepraszamy.

J. ERNICZ - HOMAŃSKA

RECENZJE MUZYCZNE

SZYMON GOLDBERG. J. GEORGESCO. KILKA SŁÓW O X-ej ROCZNICY ŚMIERCI JULIUSZA WERTHEIMA (1881 — 1928). R. CASADESUS. I. HENDŁÓWNA.

Gdy rzucić okiem na tegoroczny sezon filharmoniczny, za kilka tygodni dobiegający już końca — zauważyć można, że po pierwsze prawie wszystkimi piątkowymi koncertami symfonicznymi dyrygowali kapelmistrz zagraniczni; po wtóre, co do solistów koncertów piątkowych, to w znacznej mierze przeważali pianiści.

Po długim korowodzie koncertów z udziałem pianistów, ostatnie 2 miesiące stanowiły odmianę; słyszeliśmy bowiem kilku skrzypków, jak: dobrze znana publiczności warszawskiej Irena Dubiska, Louis Krasner, po raz 1-y występujący w Warszawie, Ginette Neveu, 1-a lauretka warszawskiego konkursu im. H. Wieniawskiego, oraz solista przedostatniego koncertu Szymon Goldberg, który w odegranych z orkiestrą dwóch romansach Beethovena i koncercie e-moll Mendelssohna okazał się istotnie wybranym instrumentalistą i wybitnym muzykiem, subtelnie odczuwającym finezję muzyki zarówno Beethovena, jak i Mendelssohna.

Po koncercie z udziałem Goldberga, wrócił zowu do fali pianistów: solistą ostatniego koncertu piątkowego był znany pianista francuski Robert Casadesus, obecnie zaś cała muzykalna Warszawa oczekuje z niecierpliwością występu Józefa Hofmana.

Rumuński kapelmistrz, Georgesco, który prowadził 2 ostatnie koncerty piątkowe, jest dyrygentem wysokiej klasy.

Zrównoważony, skoncentrowany duchowo, technicznie opanowany, nie szafujący zbędnymi ruchami, a jednak, gdzie trzeba, folgujący — zawsze zresztą estetycznej — gestykulacji, prowadzi orkiestrę po linii zdecydowanej i wyrazistej

Jego koncepcje jasnością swoją narzucają się same przez się i utwierdzają w przekonaniu, że nikt z orkiestry nie ma wątpliwości co do zamierzeń odtwórczych dyrygenta

Prawda, że te zamierzenia są bardzo trudne do zrealizowania: zakrojone na szeroką skalę, przytem wielce wyrażone, stawiają wielkie wymagania orkiestrze. Jeżeli w obrębie dwóch koncertów, nie wszystko się udało, to jednak tak samo w Beethovenowskiej „Eleonorze Nr. 3“ i III-ej symfonii Brahmsa (należących do programu I-go koncertu) jak i w VII-ej symfonii Beethovena (figurującej w programie II-go koncertu) było wiele momentów znakomitych, przynoszących prawdziwy zaszczyt zarówno dyrygentowi, jak i naszej orkiestrze filharmonicznej (np. II-a część i final VII-ej symfonii).

Ponieważ, jak wiadomo w Filharmonii panuje, zresztą godny uznania, zwyczaj, że każdy przyjezdny kapelmistrz musi w ramach każdego koncertu zadrygować jednym dziełem polskim — Georgesco poprowadził na I-ym koncercie suitę Adama Wieniawskiego p. t. „Wakacje Ninki“, będącą własnym ciągiem granych już w swoim czasie „Bajeczek“, zaś na II-ym koncercie 2 fragmenty ze suit symfonicznej Roman Palestra p. t. „Uworiura“ i „Preludium i fugato“.

Utwór Palestra, młodego kompozytora, od kilku lat usilnie popieranego przez pewne sfery muzyczne, jest niewątpliwie stosunkowo najlepszy w tych momentach, gdzie żywo odzywa się echa strausowskiego „Sowizdzała“. Poza tem wieje żeń pustka i nuda, której nawet „fugato“, jako plinie wypracowana robota kontrapunktyczna, nie może poratować.

Szkoda, że w ręce tak znakomitego kapelmistrza nie dano jakiegось bardziej wartościowego dzieła, choćby np. prawie zupełnie zapomnianego Juliusza Wertheima, którego X-a rocznica śmierci przypadała w tych dniach (3 maja).

Juliusz Wertheim (1881 — 1928) był przecież jednym z najwybitniejszych kompozytorów polskich XX-go wieku. Zostawił wybitnie wartościowy dorobek twórczy, który niestety leży odległym. Fakt, że zmarł na estradzie Filharmonii podczas koncertu, dyrygując orkiestrą filharmoniczną (wśród uwertury „Śpiewaków Norweskich“ Wagnera — było to 6 maja 1928 r.) powinien był, zdawało by się, nakłonić Filharmonię do uczczenia pamięci tego znakomitego muzyka. Tymczasem nie się nie słyszy, by w tym kierunku coś uczyniono.

Powracając do ostatniego koncertu piątkowego, poświęcić trzeba kilka słów soliście, Robertowi Casadesusowi, który odegrał z orkiestrą

koncert Es-dur Beethovena i koncert na lewą rękę Ravela.

Pianista francuski Robert Casadesus znajduje się obecnie u szczytu swego powodzenia; wrócił niedawno z wielkiego tournée po Ameryce, gdzie dał kilkadziesiąt (dobrze opłaconych) koncertów. Podkreślamy to dlatego, że od artysty o nazwisku otoczonym aureolą takiej sławy, mieliśmy prawo oczekiwać odpowiednio wspaniałej interpretacji Beethovena, już od pierwszych taktów koncertu, od owego



genialnego wstępu I-ej części, spotkało nas... zupełnie rozczarowanie.

Koncert Es-dur, jeden z szczytowych punktów w muzyce Beethovena, jest wszakże dziełem kapitalnym, jakby z jednej bryły wykuty. Wymaga też od wykonawcy rozwinięta orlich skrzydeł do podniebnego lotu — a nie rozkaskawiania tego jednolitego tworza na poszczególne fragmenty. P. Casadesus jest świetnym pianistą; każdy z owych poszczególnych fragmentów zagrany był nawet ślicznie — lecz wszystko razem obce jest zupełnie stylowi wielkiego arcydzieła klasycznego.

Zmiana tempa co kilka taktów, ciągłe posługiwanie się pianissimo albo fortissimo, tam gdzie oryginał wskazuje piano, mezzoforte lub forte — silą kontrastu wywiera ogromny efekt na publiczność, tak samo jak maniera odrywania wysoko ręk od fortepianu. Powinno mglićki zamiast pełnych, wyrazistych rysunków klasycznej tematyki melodyjnej, zupełnie nieodpowiadającoją potężnym arcydziełom trzech wielkich klasyków, t. zw. „trzech wielkich B“ (Bach, Beethoven, Brahms).

Koncert na lewą rękę Ravela, napisany dla pianisty, który na wojnie stracił prawą rękę, jest eksperymentem o tyle udanym, że jeśli nie patrzy się na wykonawcę, trudno uwierzyć, aby wszystko to było odegrane lewą ręką. Pianista może się tu popisać wyrobieniem lewej ręki, dla której partia ta jest niezwykle trudna, ponieważ lewa ręka nie przywykła do samodzielnego panowania nad skomplikowaną fakturą fortepianową.

R. Casadesus wykazał istotnie wręcz fenomenalne wyrobienie lewej ręki; ponieważ jednak posada — chwała Bogu — także i prawą rękę, to czemu nie wybrał jakiegось muzycznie głębszego i bardziej wartościowego dzieła?

*

Na zakończenie należy się jeszcze wzmianka o recitalu młodzieżkiej skrzypczki Idy Hendłówny, który odbył się w Filharmonii w sobotę w południe. Szkoda, że tak niewiele osób zebrało się na tym koncercie — zapewne wskutek nieodpowiedniej pory, do jakiej publiczność filharmoniczna nie jest przyzwyczajona.

Ida Hendłówna — to wybitny talent, znakomicie rozwijający się w świetnej szkole Flesza (zamieszkałego od czasu przewrotu hitlerowskiego w Londynie). Jeśli wzięć pod uwagę młody wiek skrzypczki — to zarówno technicznie jak i muzycznie, stanowi ona istny fenomen swego rodzaju.

W programie ostatniego jej recitalu filharmonicznego figurowała sonata d-moll Brahmsa, koncert G-dur Mozarta, sonata „tryl diabelski“ Tartiniowego oraz utwory Dvorzaka i Kreislera.

Znakomicie towarzyszył skrzypczce na fortepianie prof. Jerzy Lefeld.

T R U S K A W I E C

pensjonat „Belweder“ pod kierownictwem profesora Silbera, pięknie położony ogród, komfort, pokoje werandami, tarasy do kąpiei słonecznych, łazienka, hall, telefon, garaż. Kuchnia wykwinna na żądanie dietetyczna. Ceny niskie. Zgłoszenia: Warszawa telefon 645-79

„Niewiniątka“ w Kameralnym

TEATR KAMERALNY: „NIEWINIĄTKA“ SZTUKA W 3. AKTACH (4 OBRAZACH) LILIAN HELLMAN, PRZEKŁAD HELENY MYŚLAKOWSKIEJ.

Temat „Niewiniątek“ nie jest bynajmniej wieczna walka między młodszy a starszym pokoleniem. W takiej walce staje autor zwykle po stronie młodszych, którzy uosabiają postęp, dynamikę, prężność rozzadająca ramy istniejących zasad i aksjomatów. Młodzi, już przez samą swoją młodość, predystynowani są do roli zwycięzców nad starymi, którzy to, co najpiekniejsze: siłę, wiarę i nadzieję mają już za sobą. Autorka „Niewiniątek“ pokazuje nam odwrotną

stronę medalu zawsze apoteozowanej młodości. Oglądamy młode pokolenie wyżyte wszelkiego idealizmu, gnuśne i bierne a przy tym złośliwie dokuczliwe. Te „niewiniątka“ w cudzośliwie z Mary Tilford na czele dają się porządnie w znaki swoim wychowawcom, właścicielkom pensjonatu dla dziewcząt: Korn Wright i Marcie Dobie. Ta Mary Tilford, to „ziółko“ o szatańskim usposobieniu, która znęca się nad swymi koleżankami z wyszukaniem sadyzmem. Powodowana nienawiścią do wszelkiego rygoru i karności, nie cofa się przed żadnym bezceństwem, byleby się wydoszła z pod opłaki swoich przełożonych. Przy pomocy szantażu konstruuje oskarżenie przeciwko Karen Wright i Marcie Dobienajczarniejszych barwach to okropne za-

klamanie opinii amerykańskiej, ten nie będzie się dziwił, że bohaterki procesu, zamknięte się w czterech ścianach własnego domu, tracąc wszelką nadzieję na powrót do współżycia z ludźmi.

Jeśli chodzi o typy, to najlepiej i najplastyczniej nakreśliła nam autorka postać małej Mary Tilford. Jest to „ziółko“ o przekonujących rysach charakteru. Natomiast blado i bezkrwisto wypadły postacie: Karen Wright i Marty Dobie. Cechuje je pewna słamazarność, która nie wypływa z zamierzonej charakterystyki, lecz z psychologicznych niedociągnięć, z luk w duchowym obliczu. W przeciwieństwie do głównych bohaterek, dała nam autorka dość soczystą sylwetkę nauczycielki dykcji, byłej aktorki, żyjącej reminiscencjami pełnej sukcesów przeszłości, w której umyśle zatarła

się granica między tym co było, a tym co jest.

Sztuka Lilly Hellman nosi charakter reportażowy, brak jej artystycznego technienia. Ciekawa w tematyce, budzi ona u mnie wybrednej publiczności dość mocny rezonans uczuciowy (sporo kobiet płakało na widowni).

Na prawdziwe uznanie zasługuje młoda artystka Janina Polakówna, która jako Mary Tilford dała nam przekonujący typ złośliwej despotycznej dziewczyny. Irena Grywińska jako Karen Wright wydobyla z swej roli sporo mocnych akcentów. To samo dotyczy roli Marty Dobie w interpretacji Janiny Biesiadeckiej. Reszta zespołu grała bez zarzutu.

Wyreżyserowała sztukę Irena Grywińska. Dekoracje St. Jarockiego.

J. LESER.

Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 groszy, w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Przeznaczenia: kwartalnie 3 zł; półrocznie 6 zł.